



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

14

Prawda, że tu i owdzie sfalszowała, że niewłaściwie czasem użyła pedału lub za surowo grała piano, ale słuchacze nie byli wybredni, nie zależało im na muzyce, ale na jakimś takim przyjemnym spędzeniu smutnego wieczoru. Trudno zresztą wymagać od amatorki, ażeby grała artystycznie i jak zwykle, po skończeniu odezwały się oklaski.

Pan Jedliński, jako zarządzający zabawą, stanął przy fortepianie, zadzwonił, a gdy się uciszyło, przemówił:

— Stosownie do ułożonego programu, — spojrzał wymownie na panią Wandę, co nie uszło uwagi pań Poreckiej i Mniewskiej, — nastąpi deklamacja... Pan Zygmunt Habicht Orlecki wygłosi wiersz: „Do kraju rodzinnego!”

Zbliżył się do siedzącego opodal pod ścianą pana Orleckiego i wzięwszy go pod rękę, poprowadził na małą scenkę, przeznaczoną do przedstawień teatru amatorskiego.

Pan Orlecki, znalazłszy się na estradzie, oparł się jedną ręką o poręcz krzesła, a na palec lewej ręki z wielkim rozmachem i zawziętością począł nawijać i rozwijać czarny sznureczek od binokli. Przeszł powął z nogi na nogę, to patrzył na publiczność, znów zamykał oczy, znać było po nim tremę pierwszego występu.

Ta jego obawa wzbudziła pewne współczucie u pań, ale mężczyźni uśmiechali się i odzywały się głosy:

— Prosimy!... Czekamy!

Pan Orlecki odetchnął, otarł pot z czoła i zaczął cichym, niepewnym głosem:

— Uproszony przez pana Jedlińskiego, ja zdecydowałem się zadeklamować, — umilkł i powiódł oczyma po sali.

— Bravo! Prosimy! — odezwało się kilka głosów.

Pan Orlecki uśmiechnął się z przymusem i kręcąc zapalczywie sznureczek, mówił śmiejąc:

— Ja nie wiem, czy ten wiersz będzie się podobać... on jest niekunsztowny, ale szczerze oddaje uczucia poety, którego znam bardzo dobrze... wiersz ten nie był drukowany, a jego tytuł jest: „Do kraju rodzinnego”.

Odkaślnął, wyprostował się i zaczął bardzo śmiało i głośno:

Choć ryczą krowy, bodą jak szatany,
Ja cię nie opuszczę, mój kraju kochany.
Ja cię nie opuszczę aż do końca życia,
Bo cię zamieszkuję od mego powicia.
Przeszedłem wiele zmartwień, wiele nieszczęść mnie
Lecz nie opuściłem cię, bo me serce za bardzo cię
I kocha, kochać będzie, póki życie będzie w moim ciele,
Póki mnie nie opuścisz, stróżu mój aniele!

Skłonił się głęboko i widać było z udanej skromności, że czeka oklasków.

Słuchacze, sądząc z tytułu, spodziewali się usłyszeć wiersze o zakroju społecznym lub pałtryotycznym i na razie nie zorientowali się. W sali zapanowało milczenie, lecz słowa o krowach bodących, o powiciu, o ciele i stróżu aniele, pobudziły wszystkich do weselości, dopatrzono w tej deklamacji ironicznego wydrwienia czułościowości poetyckiej i po skończeniu wśród żartów i śmiechu zabrzmiały gorące oklaski, które

deklamator przyjmował z miną zadowoloną, pewną siebie, jako zasłużone uznanie.

Pan Jedliński natychmiast po skończeniu deklamacji, szybko podszedł do rozśmieszonej pani Wandy i przemówił tonem dobrego znajomego:

— Nareszcie zobaczyłem uśmiech na ustach naszej pustelniczki, jakże mnie to cieszy! — i zniżywszy głos niemal do szeptu, dodał: — czy za moje starania i zabiegi nie otrzymam dziś od pani mazura?

Pani Wandzie ten poufality ton był bardzo nie miły, ukradkiem spojrzała na pana Borowieckiego, który zdawał się nic nie słyszeć i spokojnie oglądał towarzystwo.

— Mazura nie tańczę, — powiedziała oziębło, — a na wdzięczność jeszcze czas, to dopiero poczętek.

— Jeśli nie mazura, to proszę o drugiego walca, bo pierwszy mam przyrzeczony.

— Wybiegiem, — uśmiechnęła się lekceważąco.

— Gdzie nie można przejść, tam się podłazi lub przeskakuje, — śmiał się zadowolony.

— Zasada nieszczególna, — powiedziała prawie surowo, — przeszkodę się zwalcza otwarcie, nie chytrością.

— Pani ma słuszość, — rzekł lakonicznie pan Borowiecki.

— Z mężczyznami zawsze walczę otwarcie, — nachmurzył się pan Jedliński, — ale czy mogę walczyć z pięknymi paniami, wyzywać na szpady czy pistolety?

Wtem pan Orlicki, który przechodził przez salon kołyszając się na nogach, zbliżył się do rozmawiających i rzekł do pana Jedlińskiego:

— Przepraszam pana za moją przedmowę, ona nie była w programie, ale ja musiałem dać kilka słów objaśnienia, boby mnie nie zrozumiano. Czy pan o to zły?

— Przeciwnie panie Orlicki, jestem wdzięczny za tą przedmowę, to było oryginalne.

— Ja zawsze taki, — rzekł z naciskiem i patrząc na Rytę i panią Wandę spytał: — a paniom podobają się poezja mego przyjaciela od serca?

— Bardzo dowcipna, — chwaliła pani Wanda, — ale może za dużo ironii.

— Ja go znam, on jest już taki, co na to poradzić? Urodził się poetą i umrze poetą. On dużo przecierpiał, bo i dlaczego nie miał cierpieć? — uśmiechnął się.

— Ale dlaczego zaczyna od ryku krowy swe wiersze? — spytał z uśmiechem pan Jedliński.

— Jakto, pan nie rozumie? — uśmiechnął się pan Orlicki ironicznie, — to jest subtelność kontradycji. On nie cierpi ryku, a jednak kocha kraj, czy nie tak?

— Ma pan więcej takich wierszy? — spytała Ryta.

— Mam kilka... on mi powierzył jako przyjacielowi, ja mogę pani kiedyś zadeklamować. Czy dobrze?

— O, nie róbże nam pan tej krzywdy, — zawołał wesoło pan Jedliński, — i my chcemy posłuchać, nietylko jedna panna Ryta.

— Dlaczego nie? ja wybiorę jaką poezję, ale dziś ja zmęczony, taki publiczny występ męczący, a pan nie doznaje tego?

— Prawda, ale napiję się koniaku i znów jestem gotów.

— Ja nie używam alkoholów, ja nie mam

naco i dla kogo się podniecać, a zresztą poco te podniecenia?

— No, zapewne, a co pan pija?

— Ja idę na szklanę limoniady, dla mnie to wystarczy, a pan nie pójdzie?

— Nie, muszę pilnować koncertu.

Orlicki lekkim skinieniem głowy pożegnał towarzystwo i odszedł do pobocznego pokoju.

— Jaki program dalszy? — spytała Ryta.

— Teraz na mnie kolej, — skłonił się przed panią Wandą, — proszono mnie wprowadzić o „Króla Olch”, ale nie chcąc chmurzyć czoła pani Jerzyckiej i utracić jej łaski, zaśpiewam pieśń polskiego kompozytora.

Pan Borowiecki spojrzał chłodnymi oczyma na panią Wandę, która zarumieniła się lekko i powiedziała podrażnionym głosem:

— Nie rób mnie pan zacieklą szowinistką... prawdziwa sztuka nie zna narodowości. Każdej pięknej pieśni słucham z przyjemnością.

— Więc dobrze. Zaśpiewam na intencję pani: „La donna e mobile”, bo tak niedawno, tak bardzo niedawno żądała pani Moniuszki, — uśmiechnął się ironicznie, — i szczęśliwy jestem, że pani tylko wobec Moniuszki okazała się tak zmienną, — kończył tonem, który pozwalał się domyślać, że ten drobny spór w niczem nie zmienia i nie narusza węzłów innych, które ich łączą.

Stanawszy przy fortepianie, z twarzą zwróconą do pani Wandy zaczął pieśń od słów:

Najpiękniejszych moich piosenek
Nauczyła mnie dziewczeczka,
Mistrzem bowiem były dla mnie
Harmonijne jej usteczka...

Ostatnie jego słowa, a teraz ta pieśń oburzyły panią Wandę, pobladła z gniewu.

Innym razem możeby obróciła w żart tę sprawę, ale nie teraz, gdy słucha tego pan Borowiecki, którego dziś dopiero poznała. I co on o niej pomyśli? Jakie będzie miał wyobrażenie o jej stosunku do pana Jedlińskiego? Naturalnie interesuje ją to tylko dlatego, że on jest bratem jej koleżanki. I teraz gorzko żałowała, że pana Jedlińskiego natrętnie narzucania się przyjmowała z towarzyską uprzejmością. Gdy przypomniła sobie bukiet róż i jego wyznania w salonie, pobladła z oburzenia i spojrzała badawczo na pana Borowieckiego, chcąc rozwiązać pytanie, jakby on ją osądził, gdyby o tem wiedział.

Twarz jego wydała się jej surową i dumną. On potępiłby ją napewno, podejrzewając, że kokietowała Jedlińskiego. Mężczyźni zawsze są skłonni do potępienia kobiety. Ale on nie dowiódł się, ani o kwiatach, ani o przypadkowej rozmowie w salonie. Ryta uprzedziła, ażeby nikomu nie wspomnieli o bukecie, który zniszczy; no, a pan Jedliński jest zbyt dobrze wychowany, ażeby opowiadał o takich rzeczach, chociaż kto wie, i może będzie bezpieczniej być uprzejmą dla niego, tylko nie dopuszczać go do flirtu.

Powziąwszy ten plan, uspokoiła się trochę i korzystając ze sposobności szepnęła do Ryty:

— Czy wspomnieliś komu o bukecie, który dostał się do mego pokoju bez mej wiedzy i woli?

— Nie.

— Ani twej mamie?